# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50 %, zagraniczne o 100 % drożej.

**Wychodzi każdej soboty.**
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 478.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

**W Warszawie do nabycia wszędzie.** **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 80 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 14 stycznia 1922. Nr. 2


# W poszukiwaniu za ukrytymi skarbami

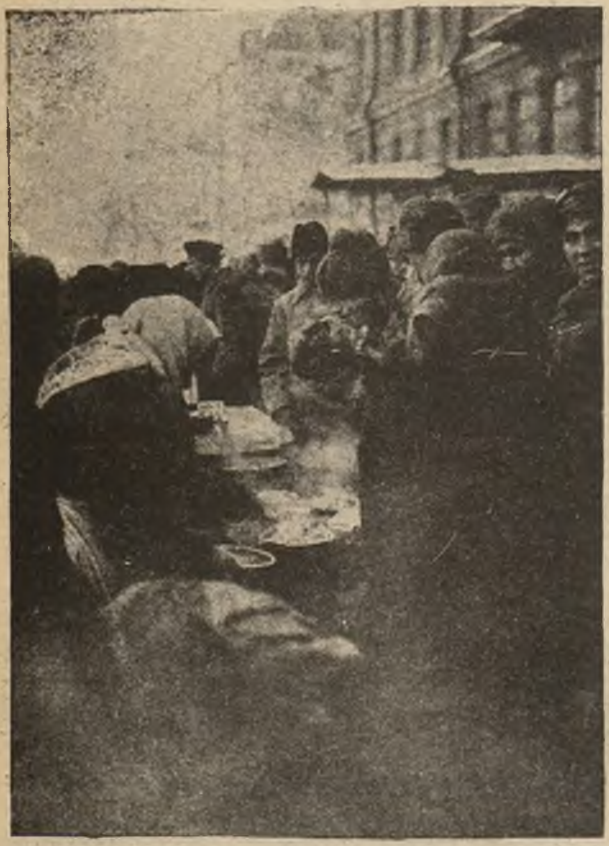


**Mieszkańcy Ostrołęki poszukują złota, zakopanego rzekomo przez Moskali w r. 1915.**

## W poszukiwaniu za ukrytymi skarbami.

(Do illustracyi tytułowej).

Natura ludzka nie zmieni się nigdy, pozostanie taką, jaką była kilka lub kilkanaście wieków wstecz a gorączka złota będzie nadal chorobą nagminną,



**Czwarta zima w „raju bolszewickim"**: Sprzedaż gorącej zupy na ulicach Piotrogrodu.

na zwalczenie której nie znajdzie środka. Marzenia średniowiecznych alchemików o fabrykacyi złota na wielką skalę, choć do dnia dzisiejszego budzą się jeszcze tu i ówdzie do życia, spełzły wprawdzie na niczem i nadzieja łatwego wzbogacenia się tą drogą zredukowaną została do zera, ostatnia nadzieja ratunku pozostała natomiast w fantastycznych opowiadaniach o skarbach, ukrytych w ziemi i czekających niecierpliwie na szczęśliwca, który je znajdzie. Możność wzbogacenia się w ten sposób, jako łatwiejsza niż przez ciężką i uczciwą pracę, jest też dla ludzi tem ponętniejszą, a wieści o tajemniczych skarbach niejednemu, nawet i bardze inteligentnemu, spędzają sen z powiek. Wystarczy puścić w obieg choćby nawet zmyśloną i zupełnie do prawdy nie podobną wiadomość na powyższy temat, aby obudzić ogólne zainteresowanie i gonitwę do złotego celu. Rozpoczynają się natychmiast gorączkowe poszukiwania, prowadzone na wielką skalę w obawie, aby przypadkiem ktoś drugi, szczęśliwszy, nie podubiegł i przypadkiem nie znalazł tego, czego nigdy nie było.

Coś podobnego wydarzyło się w połowie ubiegłego miesiąca w Ostrołęce, w byłej Kongresówce. Były żołnierz armii rosyjskiej, Moskal, przebywający obecnie w tamtych stronach, przyjął niedawno katolicyzm, a przy spowiedzi wyznał, że jego pułk, cofając się w roku 1915, zakopał na miejscowym cmentarzu sto tysięcy rubli w złocie i ofiarował się wskazać to miejsce. Rozpoczęto poszukiwania, które do skutku nie doprowadziły, ale wiadomość o nich rozeszła się rychło po okolicy i stała się powodem, że niemal cała ludność miejscowa, bez różnicy stanu, wieku, płci i wyznania, uzbrojona w motyki i rydle, rozpoczęła w różnych punktach poszukiwania za ukrytem złotem. Szukano na cmentarzu, w polu, w lesie, po ogrodach, nie natrafiono nigdzie na ów skarb, który najprawdopodobniej powstał w fantazyi opowiadającego o nim, i, kto wie, czy nie śmiejącego się gdzieś w kułak na boku z naiwności ludzi, których tak łatwo w pole wyprowadzić, a samemu wyjść na tem dobrze, gdyż spragnieni złota goszczą informatora, czem mają najlepszem, by go skłonić do wskazania właściwego miejsca. On zaś wskazuje raz tu, to znowu tam, a gdy nigdzie ani śladu złota, tłómaczy się, że mu pamięć osłabiona przeżyciami wojennemi, nie dopisuje.

Nie zraża to jednak Ostrołęczan i w dalszym ciągu prowadzą dalej na swą rękę poszukiwania.

---

## Czwarta zima w „raju bolszewickim".

Wiadomości nadchodzące z głębi Rosyi coraz częściej w miarę powrotu naszych repatryantów, przedstawiają stosunki panujące w tym nieszczęsnym kraju w tak czarnych barwach, iż poprostu wierzyć się nie chce, aby ludzie mieli tyle sił, by znieść to wszystko, z drugiej zaś strony losy tych nieszczęśliwych budzą głębokie współczucie i prawdziwy podziw dla hartu ducha, pozwalającego im znieść te wszystkie katusze bolszewickiego piekła dla ironii nazywanego „rajem".

Słabą illustracyę stosunków, panujących obecnie w Rosyi stanowią przytoczone poniżej wyjątki z opowiadań powracających stamtąd, dopełniają ich zaś zamieszczone obok fotografie.



**Czwarta zima w „raju bolszewickim"**: Przy spożywaniu gorącej zupy po tysiąc rubli porcya.

Ogromna połać Rosyi południowej, obejmująca gubernie: Ufimską, Orenburską, a przedewszystkiem Symbirską i Samarską — dotknięta jest głodem. W ostatnich dwu guberniach urodzaj w ciągu dwu lat nie dopisywał, a jeżeli dodamy do tego niezmierne i dowolnie określane ilości zboża, ściągane drogą rekwizycyi przez władze sowieckie — nie należy się dziwić, że właściciele rolni zniechęceni są ostatecznie do uprawy. To też porzucają oni masowo swoje ziemie, i naładowawszy wozy niezbę-



**Czwarta zima w „raju bolszewickim"**: Manifestacja komunistyczna u podnóża Kremlu w Moskwie.

dnemi rzeczami, dążą do innych lepiej zaopatrzonych w artykuły spożywcze gubernii, prowadzą życie koczujące, kołatając po drodze do drzwi swych ziomków z prośbą o chleb. Władze, zaniepokojone taką zbiorową wędrówką, skrępowały do niemożliwości ludność miejscową. Niewolno bez przepustki opuszczać stałej siedziby, chociażby na czas krótki do wsi sąsiedniej, przepustki zaś wydają się z bardzo małemi wyjątkami tylko jadącym w sprawach służbowych. Gub. Penzeńską zaliczają do ziem bardzo obfitujących w zboże, a mimo to w Penzie cena puda mąki razowej dochodzi do 220.000 rubli sowieckich, zaś pytlowej pszennej do 500.000 rb. Wobec takich cen, zbiedzona ludność zmuszona jest uciekać się do specyalnej fabrykacyi chleba. Jest to mięszanina składająca się z kory dębowej, kory lipowej, trocin, otrąb i obierzyn z rzepy. Całe siły umysłowe tych tych nieszczęsnych ofiar teroru bolszewickiego,ześrodkowują się w marzeniach o chlebie powszednim. Na stacyach kolejowych gromady wyrostków obojga płci zbierają się, oczekując przejazdu pociągów osobowych. Gdy pociąg nadejdzie, czyhaj na wyrzucane z wagonów resztki jedzenia: główki śledziowe, kości od mięsa, skrawki z chleba i tym podobne łakocie, pożerając je ze zwierzęcą łapczywością. Za dwa pudy mąki można kupić dom w Penzie — trudno jednak znaleźć nabywcę. Urzędnikom dawano 25 funtów mąki miesięcznie. Minęły jednak całe trzy miesiące, a władze nie wydały ani jednego funta. Wówczas urzędnicy z pewnego wydziału ogłosili strejk. Załatwiono się z nimi krótko. Siepacze czerezwyczajki zabrali ich, powieźli do Moskwy i rozstrzelali wszystkich.

Pomimo tego rozpaczliwego połżenia, nie słychać nigdzie skarg i narzekań. Ten pozorny spokój jest wynikiem terroru, czerezwyczajka wypuszcza całą zgraję wywiadowców, których zadaniem jest przysłuchiwanie się rozmów. Dość jest choćby najłagodniejszą skargę wygłosić przeciw władzy, a już takiego osobnika bierze łapacz w swoją opiekę i człowiek ten stracony na zawsze — już nie ujrzy nigdy domu i rodziny. Biura rządowe przepełnione żydami i żydówkami. Nic więc dziwnego, że chrześcianin, będący w nieporozumieniu z żydem — chociażby słuszność była po jego stronie — to on, a nie żyd będzie karany.

Takie stosunki panują w najbogatszych dawniej okolicach Rosyi, które zaopatrywały w żywność cały kraj, o ileż zatem gorsze muszą być i są w samej rzeczy w okolicach północnych, zwłaszcza zaś w większych środowiskach, jak naprzykład Moskwa lub Piotrogród. Ta nędza, szczególnie w sferach inteligentnych, jest tak straszna, że trudno znaleźć słowa na jej opisanie, a także i wiarę u czytającego, że to prawda a nie wymysł.

Ciekawą charakterystykę stosunków tamtejszych, o ile one dotyczą Polaków, zamieszkałych w Moskwie, podaje jeden z repatryantów.

W chwili nastania rządów bolszewickich w Moskwie istniała polska koedukacyjna szkoła średnia na Spirydonówce (Jakubowskiej). Prowadziło ją kolegium nauczycielskie, składające się z pp. Chylińskiej, Mergla i Jachno. Została ona upaństwowiona, jak wszystko w Rosyi. Zajął się nią komisaryat „polski" (składający się z towarzyszy Bobińskiego, Wojciechowskiego i in.). Przemieniono ją na szkołę dwustopniową. Pierwszy stopień obejmował 4 klasy. Nauczyciele musieli, jak za dobrych starych carskich czasów złożyć podania i przeważnie zostali na miejscach, bo komuniści polscy nie mieli sił. Wogóle sił pedagogicznych w owej chwili już brakowało i tak np. p. Rączka, muzyk, wykładał algebrę. Komisaryat wydelegował do wykładów ekonomii politycznej i historyi Polski niejaką Landanową. Na razie była nauczycielką, ale komisaryat najwidoczniej wysuwał ją na przełożoną. W całej szkole odczuło się rozprzężenie. „Wolność" bolszewicka została przez dzieci dwoiście zrozumiana. I przedtem koedukacya nie przynosiła zbyt świetnych owoców. Obecnie młodzież w starszych klasach zajęła się bardziej flirtem niż nauką. Lekcye Landanowej były zwłaszcza bojkotowane. Młodzież siedziała sobie lub zabawiała się w sposób mniej lub więcej odpowiedni w ciepłej kuchni i nie zjawiała się w klasie. Ku Landanowej odrazu powstała niechęć. Że napadała zawzięcie na pierwiastek monarchiczny w historyi polskiej — nie robiło to wrażenia. Materyalizm dziejowy też nie znajdował oceny. Ale Landanowa zaczęła dzieciom polskim tłómaczyć, że niema Boga. Obalała w nich pojęcia narodowe, w których wzrosły. To też pewnego razu protest i oburzenie przybrały formę dziecinną: strajkujące żywioły otworzyły drzwi do klasy i rzuciły w komunistkę kubkiem wody.



Czwarta zima w „raju bolszewickim": Publiczna ogrzewalnia pod gołem niebem w Piotrogrodzie

„Nie chcemy, żeby obca, żydówka, co Polski nie kocha, mówiła nam o Polsce" — z ogniem w oczach mówiły dzieci. Po takiem wystąpieniu zleciał się komisaryat. Dzieci nie chciały Landanowej przeprosić i szkołę zamknięto. Bohaterstwo oporu dziecięcego w obronie swych ideałów religijnych i narodowych można ocenić, wziąwszy pod



Czwarta zima w „raju bolszewickim": 1) Jedna z głównych ulic Moskwy „Teatralnyj Projezd" w szacie zimowej 2) Prowizoryczny plac targowy na „Fontance" w Piotrogrodzie.

uwagę, że w szkole dawano jeść i było w niej ciepło. Wtedy założono internat i szkołę (w mieszkaniu bogacza Be ra w okolicach Arbatu, gdzie teraz jest poselstwo polskie). Przełożoną została



Towarzystwo oratoryjne w Krakowie: Członkowie Towarzystwa.

oczywiście Landauowa, a szkoła była imienia „Polki" Róży Luxemburg, która całe życie wysługiwała się Niemcom. O wypaczeniu pojęć politycznych komisaryatu świadczy to, że obowiązujący w szkole język rosyjski wykładała Rosyanka z Warszawy, z carskiej szkoły. Karmiono dzieci nieźle. Internatem zajmowała się Andrejewowa, Polka z pochodzenia. Dzieci nie bito nigdy. Dawano im swobodę dosłownie chodzenia na głowie. Nauki szły słabo, nie tylko dlatego, że były słabe siły nauczycielskie, lecz i dlatego, że nowy system nie pozwalał „męczyć" dzieci. Coś im opowiadano, trochę pytano, o ile dzieci raczyły odpowiadać. Po lekcyi nauczyciel dziękował małym „towarzyszom", że raczyli go słuchać.

Trzeba wiedzieć, że w całej Rosyi dzieci za bolszewizmu doszły do ostatecznego rozwydrzenia i demoralizacyi. Nauczyciel został istotą tak nieszczęśliwą, jaką nigdy nie był wyzyskiwany robotnik. Potworzono rady szkolne, do których weszli jako „równi z nierównymi" stróże szkolni. A że każdy inteligent trząsł się przed każdym chamem wobec szalejącej „dyktatury proletaryatu", musieli więc, aby nie zostać bez chleba, potulnie słuchać „proletaryuszy", opiniujących, że jakaś nauka nie potrzebna, lub, że inaczej trzeba postępować z uczniami. Uczniowie z bydlęcą bezmyślnością znęcali się nad pedagogami, wypłacając z nawiązką niedawne ciemięstwo. Palono papierosy im pod nosem, bito, wyrzucano. „Sowiet" uczniów mógł usunąć nauczyciela. Pewnego pedagoga w Kijowie wypędzono rewolwerem z lekcyi. Dzieci polskie rozpuściły się przy takich metodach. W pięknem mieszkaniu wśród luster i obić jedwabnych rozwinęły się instynkta destrukcyjne. Pewnego razu zjawiła się tow. Marchlewska z agitacyą i zastała dzieci koziołkujące po krzesłach mahoniowych. Zaczęła im tłómaczyć, że przecież krzesła są ich, więc po co niszczyć swą własność. Mało to zresztą poskutkowało. Jak wszystkie bolszewickie, szkoła im. Róży Luxemburg była szkołą pracy. Był warsztat stolarski dla chłopców i szwalnia dla dziewcząt. Były dyżury przy sprzątaniu. Dzieci karano niepuszczaniem do domu w święto. Dzieci nie chciały wierzyć, że nie ma Boga i w niedzielę napierały się, żeby iść do kościoła. Wtedy z szaf wyjmowano cudne zabawki, które zostały tam po właścicielu i zabawiano niemi dzieci. Wogóle bolszewickie szkoły, a więc i ta dbała o rozrywki dzieci. Urządzano więc teatrzyki. Ale pewnego razu stał się skandal. Wystawiono „Królowę śniegu" Andersena, gdzie Janek mówił: Dziś niedziela, trzeba iść do kościoła, prócz tego figurował na scenie ksiądz. Wtedy przylatywała z oddziału mniejszości narodowościowych „krwawa" Dzierżyńska (żydówka) i bardzo się gniewała. Z początku pozwalano istnieć skautingowi. Poprowadzono dzieci na zebranie skautowskie do domu polskiego w Moskwie. Na tem zebraniu Włodzimierz Wojciechowski zaproponował dzieciom zamiast „druhu" mówić „towarzyszu". Dzieci się nie zgodziły. Więc skauting rozwiązano.



**W obronie zagrożonej Europy**: Były prezydent Francyi Rajmund Poincaré przeciwnik projektu utworzenia konsorcyum finansistów odbudowy Europy.

## Towarzystwo oratoryjne w Krakowie

Niegdyś, przed wojną (ach, jak to już dawno!) miał Kraków swój doskonały, głośny, wesoły i niefrasobliwy „chór akademicki", miał rozsławioną swoją „Lutnię" — słowem, miał własne śpiewacze chóry, których występy stanowiły nieomal zawsze jeden z najdoborowszych punktów programu koncertów. Długie lata nie było nic — aż wreszcie zawiązało się Towarzystwo oratoryjne, które postanowiło przemocą wywalczyć Krakowowi zacną opinię „miasta śpiewającego", a śpiewającego co



**Towarzystwo oratoryjne w Krakowie**: Soliści Towarzystwa.

RENE BURES.

# Zil=X...

Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

3)

A do tego jeszcze chcąc nam okazać swą potęgę nasyłał na nas żandarmów z rozkazem aresztowania nas! Czy jego wahania i niepewności niedawne były komedyą czy też prawdą?

Przypomniałem sobie notatkę, którą zaniosłem do „Burzy" – „Pani de Beaumont strzeliła do ojca przypadkiem" – i nie mogłem się powstrzymać od zapytania Daltona o wyjaśnienie w tym względzie.

– Więc ty porzucasz ślad pani de Beaumont?

– Nie porzucam nic, wyjaśniam tylko fakt.

– Jaki fakt?

– Fakt kuli znajdującej się w głowie senatora. Ta kula wyszła z rewolweru jego córki.

– Tak, i nie mogę zrozumieć, że utrzymujesz, że wyszła stamtąd przypadkiem.

– Nie twierdzę tego wcale.

– Jakto?

– Twierdzę, że dotknęła senatora przypadkiem, a w tem jest duża różnica...

– Może... ale daruj mój kochany, ja nie mogę zrozumieć tych wszystkich odcieni.

– Poczekaj, wytłómaczę ci to tak, że zrozumięć musisz. A więc, miałem trzy fakta do zaobserwowania.

Pierwszy: Kula z rewolweru pani de Beaumont znajdowała się w głowie senatora.

Drugi: Kula ta weszła do głowy maleńkim otworem, z którego wybiegła tylko jedna kropla krwi.

Trzeci: Znaleziono rewolwer obok ciała pani de Beaumont, umieszczony w ten sposób, iż zdawać się musiało, że wypadł z jej ręki w chwili, kiedy padała na podłogę.

Jeżeli zastanawiam się nad tymi faktami, odrzucając wszelkie przypuszczenia, znajduję co następuje:

Pierwsze: Pani de Benumont „ugodziła" w ojca. Uważaj, że nie mówię, iż „strzelała" do niego.

Drugie: Ugodziła w niego wówczas, kiedy senator już nie żył.

– Oh! – zawołałem. – Jakże to!

– Z rany wypłynęła tylko jedna kropla krwi. Dlaczego? Bo w chwili tej wszystkie artylerye były już wypróżnione raną zadaną brzytwą w szyję. – Rozumiesz.

– Czy to być może?

– Tak jest. Konkluzya. Kula, wystrzelona przez panią de Beaumont ugodziła w senatora w chwili, kiedy on już leżał z podciętem gardłem.

– Co za straszna komplikacya!

– Widzisz więc, że tu nie chodzi o jakieś względy moralne. Nie chodzi o to, jak zdawałeś się wierzyć, o ustalenie, czy pani de Beaumont była dobrą matką i córką i że wobec tego nie była wstanie popełnić tak ohydnej zbrodni. Utrzymuję i wykazuję dowodami czysto materyalnej natury, że pani de Beaumont strzeliła przypadkiem do ojca, wtedy, kiedy on już nie żył. Nie można więc przypuszczać, aby strzelała do trupa dobrowolnie, tylko, że strzelała do kogoś innego, a kula źle skierowana trafiła w senatora.

* * *

Była już godzina w pół do trzeciej, kiedy przybyliśmy do Bondy. We wsi wszyscy już spali. Nie daleko dworca znaleźliśmy na szczęście ławkę, na której mogliśmy trochę wypocząć. Dalton jak nieżywy wyciągnął się na niej i zasnął. Ja zaś czuwałem, wysłuchując bicia zegara na niedaleko znajdującej się wieży ratusza.

Około godziny czwartej otworzono dworzec. Przybyły wkrótce dzienniki z Paryża. Kupiłem „Burzę" i zdrętwiałem, czytając na pierwszej stronicy wydrukowane podwójnemi czcionkami: „Nowe morderstwo".

Nowe morderstwo... Przebiegłem szybko oczami szpalty poruszony do głębi.

– „Otrzymujemy z dobrego źródła, w ostatniej chwili – pisała „Burza" następującą wiadomość:

„Znaleziono kapitana de Limandoux zamordowanego w własnym jego domu w Boy-sur-Marne.

„Wiadomo, że kapitan de Limandoux, oficer wielkich zasług, był narzeczonym panny de Beaumont, wnuczki senatora Poivrier. Czy w tem nowem morderstwie widzieć należy epilog, lub też może ciąg dalszy strasznego dramatu w willi „Bzów"? Dyrektor policyi wyjechał natychmiast do Nogent w towarzystwie pana sędziego Giroux. Miejmy nadzieję, że ich energiczne dochodzenia wykryją całą prawdę. „Burza" poczyniła starania, aby przez nadzwyczajne wydania codzienne dostarczać czytelnikom swoim pierwszych wiadomości".

Odczytałem dwukrotnie ten artykuł i zapytałem Daltona.

– Do o tem sądzisz?

– Sądzę – odparł – że Jerzy Dambleuse nie będzie jeździł konno nocy jutrzejszej i że my spać możemy spokojnie.

– Myślisz więc, że on jest sprawcą tej zbrodni?

– Myślę tylko, że gdybym był na miejscu pana sędziego Giroux, kazałbym go zaaresztować natychmiast. Ale bądź spokojny. On go zaaresztuje. Wobec tego nie powrócimy więcej do pawilonu a właściwie za krzak nasz obserwacyjny.

– Co zrobimy.

– Ty powrócisz do Paryża do siebie i będziesz robił co ci się podoba. O jedno cię tylko proszę mój kochany czytaj uważnie dzienniki i zapamiętaj dobrze co piszą. Ja cię pożegnam przy obwodowej kolejce i...

Zawahał się jakgdyby nie chciał dalej mówić, ale nalegałem z uporem.

– I co? i co? powiedz-że, dlaczego takie tajemnice przedemną?

– I pójdę porozmawiać z Igginsem – dokończył Dalton poważnie.

– Ah! tak! Iggins!

Odkąd prowadziliśmy śledztwo z Daltonem, zapomniałem zupełnie o tajemniczym panu Iggins!

Dalton wydawał się być tak niezależnym, tak wolnym! W pewnych chwilach nawet przychodziła mi myśl, że on sam był swoim panem i że Iggins był to tylko jego pseudonim, pod którym się wygodnie ukrywał pseudonim sensacyjny i pociągający dla reklamy i komunikatów „Burzy".

Czy więc Dalton był szczerym, mówiąc, że idzie pomówić z Igginsem?

Zapewnie musiał wyczytać te myśli na mej twarzy bo dodał.

– Tak, tak, mój kochany! Z Igginsem! Muszę pomówić z Igginsem. On tylko jeden może rozświetlić te ciemności. Wpadłem już na kilka dobrych śladów, ale teraz widzę, że w ostateczności nie wiem nic. Jeżeli Iggins zgodzi się współdziałać, jesteśmy wyratowani.

– A dlaczego miałby odmówić swojej pomocy? – zapytałem. – Właściwie to my bronimy jego sprawy. Walczymy dla Igginsa and Cie. Nie może nas opuścić, bo by tem zaszkodził sam sobie.

– Tak – wyrzekł Dalton. – Tak, masz słuszność, logicznie masz słuszność. Ale wiedz mój drogi, że logika Igginsa w niczem nie jest podobną do logiki innych ludzi.

Przy obwodowej kolejce rozeszliśmy się.

Na dworcu północnym wsiadłem do doróżki i kazałem się wieść do swojego mieszkania, przekonawszy się przedtem jednak, czy nie byłem przez kogo śledzony. Czyniąc to, śmiałem się ze siebie, bo nie przypuszczałem, że stanę się w tak krótkim czasie tak wytrawnym detektywem.

## Ankieta reporterów.

Jest to rzecz niewyjaśniona i zadziwiająca jakim sposobem reporterzy dowiadują się o wszystkich tajemnych rozmowach, odbywających się przy drzwiach zamkniętych o gabinetach sędziów śledczych i dyrektorów policyi.

Pomiędzy godziną czwartą a szóstą wieczorem można zawsze spotkać zgromadzonych w kancelaryi woźnego kilku młodych ludzi, różnego wieku, rozmawiających o wszystkiem, co nie ma styczności ze sprawami sądowemi. Śmieją się, dowcipkują, żartują, tak, jak gdyby nie mieli nic innego do czynienia. Od czasu do czasu który z nich znika na chwilę. Czy pobiegł za adwokatem? Czy przekonał którego z sędziów, że prasa pierwsza musi być poinformowana o wszystkiem? Czy też przekupił jakiego pisarza?

Nikt tego nie wie. Ale faktem jest, że kiedy powraca, wyciąga z kieszeni jakiś świstek papieru i dyktuje coś swoim towarzyszom, którzy piszą z zajęciem i szybkością nadzwyczajną.

Nazajutrz zaś dzienniki wszystkie rozpiszą się szeroko o tem wszystkiem, co było mówionem w tajemnicy w biurze sędziego. Podawać będą dokładne pytania sędziego i odpowiedzi oskarżonego. Napróżno władze protestują surowo przeciw takiej niedyskrecyi – reporterzy coraz gorliwiej informują publiczność i śmieją się z tych bezowocnych protestów.

W ten to sposób, nie posiadając żadnej władzy do prawnego śledzenia czynności sędziego Giroux, informowany bywałem co godzina o każdym jego kroku i słowie. „Burza" według danej obietnicy drukowała dodatki nadzwyczajne. Służący mój tylko starał się dostarczyć mi każdy z nich zaraz po opuszczeniu prasy.

Z nich to dowiedziałem się, co następuje:

„O godzinie trzeciej dyrektor policyi uwiadomiony został o zbrodni popełnionej na kapitanie Limandoux. Wyjechał natychmiast automobilem do Boy w towarzystwie pana Bertillon i kilku inspektorów. Pan sędzia Giroux miał pośpieszyć za nim.

Kapitan de Limandoux mieszkał sam w pawilonie należącym do niego. Dwoje służących obsługiwało go. Lokaj był równocześnie stangretem. Żona jego kucharką. Oni to przyjęli przybyłe władze i zaprowadzili do sypialnego pokoju kapitana. Kapitan de Limandoux leżał na dywanie. Otrzymał on trzy kule rewolwerowe. Wynik badania służby z najdrobniejszymi szczegółami podamy w najkrótszym czasie. Dwóch naszych sprawozdawców znajduje się na miejscu".

– – – – – – – – – – – – – – – – – – – –

Przeczytałem to o godzinie siódmej zrana. O ósmej zaś pojawiło się już świeże wydanie. Zawierało ono notatkę, którą niżej przepisuje dosłownie:

„Służący zeznali, iż się udali na spoczynek o zwykłej godzinie około dziesiątej. Pan ich był w zwykłem usposobieniu. Drzwi wszystkie były zamknięte. Około godziny jedenastej zbudzeni zostali wystrzałami, które w małej przerwie dały się słyszeć znowu. Wyskoczyli z łóżek i ubrali się pośpiesznie. Stary służący otworzył drzwi i zeszedł cicho na dół. W chwili, kiedy zstępował z ostatnich schodów, słyszał, jak zamykano furtkę wejściową.

Z lampą w ręce udał się do przedpokoju. Nigdzie nie było słychać żadnego szelestu. Podszedł więc pod drzwi gabinetu i nadsłuchiwał chwilę, poczem wszedł do środka. Nie zobaczył tu nic. Meble stały w dawnym porządku. Wówczas posunął się dalej i spostrzegł, że drzwi prowadzące do sypialnego pokoju kapitana były uchylone. Drżąc z trwogi, zasłaniając ręką światło lampy, wsunął się ostrożnie do pokoju, chcąc zobaczyć, czy pan jego śpi. I zaraz wydał krzyk przerażenia, wybiegając z powrotem na schody. Mogliśmy przed chwilą wybadać tego biednego człowieka, który jest jeszcze pod wrażeniem okropnej zbrodni, dokonanej o kilka kroków od niego. Z trudem potrafiliśmy wyrwać od niego kilka słów zaledwie.

– Uciekłem – powiedział nam. – Pobiegłem do żony i powiedziałem jej:

– Zabili naszego kapitana.

– Ona zaś odpowiedziała mi.

– Uciekajmy stąd czemprędzej.

– Ale zaraz odzyskałem zimną krew. Poradziłem jej, aby się zamknęła w swoim pokoju i zasunęła drzwi łóżkiem. Ja miałem iść zbudzić sąsiadów. Ale ona nie chciała zostać sama, chciała iść ze mną. Wtenczas zamknąłem ją przemocą, zbiegłem ze schodów i pobiegłem do furtki.

Była zamknięta.

„Poszedłem więc zadzwonić do sąsiedniej willi, która jest zamieszkała przez rok cały. Służący przyszedł i kiedy mu opowiedziałem co się stało, pospieszył ze mną do żandarmeryi. Moja żona zaś rozchorowała się ze wzruszenia i leży w łóżku".

Takie były zeznania, pisała „Burza" tego człowieka. Pan sędzia Giroux i dyrektor policyi badali go długo. Nie mogli jednak nic z niego więcej wydobyć.

Sprawozodawcy „Burzy", którzy na pierwszą wiadomość o zbrodni udali się do Boy, byli zręcznymi i fachowymi ludźmi. Nic nie uszło ich uwagi. Widzieli jak o godzinię ósmej z rana doktór Brunel, lekarz sądowy wszedł do mieszkania Limandoux.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAROL DICKENS.

# ZŁAMANA SZPADA

2)

Jakiś młody, wymuskany dworzanin, ukazał się pierwszy, wydobył na blask słońca gładką stalową klingę i oddał ją z gracyą koledze majstra Graham, który przemierzywszy ją i widząc, iż długa jest jedynie na trzy stopy prawem przepisane, wręczył mu ją napowrót z ukłonem. Wówczas młody dworak zdjął kapelusz i zaśpiewał: *God save the queen!* (Niech Bóg uchowa królowę), a wtórzyły mu okrzyki i oklaski tłumu.

Drugi przybył za nim, jeszcze lepszy dworak niż tamten, bo jego klinga miała zaledwie dwie stopy długości, co nawet śmiech pomiędzy zebranymi wokoło wywołało.

Za nimi zbliżył się trzeci; był to stary wojak, a szpada jego przenosiła o 18 cali długość prawem przepisaną; okrzyk ogólny zawrzał przeciwko niemu i wszyscy widze, a w szczególności nożownicy i zbrojownicy zaczęli się śmiać z góry ze złamania tej prawem zakazanej klingi; ale jakież było ich rozczarowanie, kiedy stary weteran rozpiąwszy z zimną krwią swój pendent, rozkazał służącemu szpadę odnieść do domu, a sam przeszedł bezbronny na wielkie zgorszenie obecnych.

Wynagrodziło ten zawód tłumowi ukazanie się jakiegoś fanfarona, z ogromnej długości szpadą przy boku, który się zatrzymał przy wejściu do bramy i rozmyśliwszy się, wolał powrócić nazad, niż oddać na zniszczenie broń swoją ulubioną. Żadna jednakowoż szpada nie została dotychczas złamaną jeszcze, chociaż zbliżała się już godzina południowa, a tylu szlachetnych panów musiało tamtędy przejeżdżać, udając się na mszę do kościoła św. Pawła.

Podczas kiedy to wszystko miało miejsce, majster Graham stał na boku, dopełniając skrupulatnie włożonego nań obowiązku, a nie zważając na resztę. Zbliżył się właśnie w chwili, kiedy w bramie miejskiej ukazał się jakiś pan bogato przybrany; szedł piechotą, a służący, który postępował za nim, niósł płaszcz jego.

Wrzawa ucichła na chwilę, tłum czekał ciekawie, co się stanie. Majster Graham stał sam pod sklepieniem bramy, nowo więc przybyły i on spotkali się oko w oko. Ten pan, bo wydawał się być lordem, miał minę wyniosłą i pogardliwą, która okazywała, jak nisko cenił mieszczanina. Postawa zaś mieszczanina była spokojną i poważną, jako człowieka, który nie daje się łatwo ustraszać ani przewodzić nad sobą, mając jedynie szacunek dla szlachectwa, które płynie z zasługi. Może ten instynkt wzajemnego oceniania swoich usposobień nadał przy tem spotkaniu spojrzeniu ich obu dziwnie jakoś twardy wyraz.

— Upraszam waszej wielmożności o wręczenie mi swojej szpady.

I zaledwie Graham wymówił te wyrazy, zadrżał nagle i cofając się o kilka kroków, położył dłoń na rękojeści sztyletu, który nosił za pasem.

— Pan jesteś tym samym, któremu pilnowałem konia przede drzwiami fabrykanta łuków, wszak nie mylę się, nieprawdaż?

— Z drogi psie czeladniku — odpowiedział groźnie tamten.

— Tak, tak, jesteś tym samym, poznaję cię — odpowiedział Graham; — niech nikt nie miesza się pomiędzy nas, tu idzie o śmierć lub życie.

I to mówiąc wydobył sztylet i rzucił się z zajadłością na szlachetnego pana.

Ten zaś, stosując się do rozporządzenia, wydobył już był szpadę z pochwy, zanim jeszcze te słowa wyrzeczone były. Odwrócił ją więc ostrzem do napastnika, ale sztylet, który Graham trzymał w ręku, była to broń urządzona umyślnie do odbijania takich razów, z łatwością więc uniknął ciosu prosto w pierś mu wymierzonego i dwaj przeciwnicy zetknęli się jeden z drugim. Sztylet upadł na ziemię i mieszczanin wyrywając szpadę szlachetnemu lordowi, wepchnął mu ją w serce. Wydobywając broń z rany, spostrzegł dopiero, że od silnego pchnięcia złamała się na dwoje i że połowa klingi pozostała w piersiach trupa.

Wszystko z taką szybkością miało miejsce, że widzowie nie mieli nawet czasu wdać się pomiędzy nich, żeby ich rozbroić. Ale zaledwie jeden z przeciwników upadł śmiertelnym ugodzony razem, straszliwa natychmiast powstała wrzawa. Służący przedarł się przez bramę i pobiegł w miasto donosząc, iż pan jego, znakomity lord, został napadnięty i zabity przez mieszczanina i wieść ta z ust do ust przebiegła. Z katedry św. Pawła, ze sklepów księgarzy i z innych domów placu wysunęły się na ten krzyk roje młodych panów i dworzan, którzy dobywszy szpady, rzucili się na Lug Gate.

Z równąż szybkością, podniecając jedni drugich głośnymi krzykami, mieszczanie i lud garnęli się do walki i otoczywszy tłumnie majstra Graham, pociągnęli go za sobą. Daremnie złamaną szpadą ponad głową wywijając, wołał on, iż chce umrzeć na progu miasta w obronie praw mieszczaństwa angielskiego, fale tłumu uniosły go z sobą, broniąc od wszelkiego napadu i gwałtem sunąc się w środkowe ulice miasta.

Był to straszliwy widok: szczęk broni, grzmot głosów, głowy pyłem pokryte, twarze gniewem płomieniące, ludzie deptani nogami, kobiety w oknach, skąd wydawały krzyki, poznając braci, mężów i kochanków w tłumie. A odgłos dzwonów pomnażał jeszcze zamięszanie, w którem każdy ze ślepą walczył wściekłością, na pięście czy na kije, na szpady czy na miecze. A wszędzie, gdzie tylko złamana szpada ukazała się w górze, kawalerowie z ludźmi swoimi z większą zajadłością się rzucali, a po każdym takim napadzie w ściśnionych rzędach ludu próżne przeświecało miejsce, które w tęż samą chwilę nowe tłumy zapychały, stając się dla szlachty żywą i poruszającą się zaporą: powiedziałbyś, że to prawdziwy chaos, gdzie wybłyskiwały co chwila szpady, kije, pióra od kasków, kity od czapek, bogate ubiory i łachmany.

Zamiarem ludu było przymusić majstra Graham do schronienia się we własnym domu i bronienia go, aż dopóki władza nie wda się w tę sprawę, albo dobrowolnie układy jakie nie nastąpią. Ale czy to przez niewiadomość nowego jego zamieszkania, czy też skutkiem jakiegoś obłędu z rozruchu pochodzącego, żony mieszczan zatrzymały się przed dawnym jego domem, który był ze wszech stron zamknięty. Stracono pewien czas na wybijaniu drzwi, podczas czego ze dwudziestu najzuchwalszych z przeciwnej party biło się przebiło się przez tłum i stanęło u wejścia razem z majstrem Graham.

— Z wolą Boga nie będę uciekał w tak słusznej sprawie — zawołał majster Graham głosem, który mógł nareszcie dać się usłyszeć; — nie, nie będę uciekał, kiedy noga moja dotknęła progu domu, na który ludzie z waszego rodu rozpacz i hańbę naprowadzili. Bez pardonu! ani sam go nie chcę, ani nikomu nie dam. Uderzajcie!

I walka na nowo się rozpoczęła, a kawalerowie zmuszeni zostali cofnąć się na chwilę przed błyskiem złamanej szpady; ale w tej samej chwili dał się słyszeć wystrzał; rusznica należała zapewne do któregoś napastnika, co się dostał do okna sąsiedniego domu... kula trafiła Grahama w czaszkę i padł trupem. Jęk przedarł powietrze... kilku osobom z tłumu wydało się, jak gdyby jakaś dziwna postać ukazała się i znikła nagle w oknie domu fabrykanta łuków.

I nastąpiło głębokie milczenie. Niektórzy z walczących złożyli broń i ciało umarłego przenieśli do domu, inni rozbiegli się częściowo, rozmawiając cichym głosem i kiedy wojsko przybyło, żeby zająć ulicę, była ona prawie już pustą zupełnie.

Ci, którzy nieśli ciało majstra Graham, żeby je na łóżku złożyć, zdziwili się, widząc kobietę z rękoma do modlitwy złożonemi klęczącą u okna; chciano ją podnieść, ale już nie żyła; pogrzebano więc ją obok ciała mieszczanina, którego ręka trzymała jeszcze mocno ściśniętą jedyną szpadę, złamaną tego dnia w Lud-Gate.

KONIEC.

---

JÓZEF LASOŃ.

# Gangrena

Z CYKLU: „NA FALACH ŻYCIA".

4)

Prybowski nie pamięta tak dawno zapomnianej chwili gawędy przyjacielskiej, jaką obecnie toczy z żoną, jaką wiódł w czasach narzeczeńskich i w dniach pierwszych małżeńskich. Tryby życia pochwyciły ich stalowymi kleszczami w nieustannym wirze obrotów trosk i walki o byt, starły wszelkie cieplejsze słowa; miłość spaliła się, skuwając coraz silniej dwoje obojętnych sobie istot węzłami musu i obowiązku. On miał kucharkę, ona żywiciela. Wróciła znów jakaś dawna zapomniana chwila, której nieraz pożądał, jak wspomnień młodości. Zdawało się, że i jej serce ożywiło się i zaczęło żywiej bić, krew silniej krążyć, Nachyla się do ucha męża i długo coś szepta, przekonywuje. Wtulony w wyszarzałą kołdrę, potrząsa głową i usiłuje się ochronić od nagłych, niespodziewanych czułości żony. Wyczuwa, że czułość ta, każdy cieplejszy pocałunek żony, obowiązuje go do wykonania tego, co do ucha żona szepce. Przytuliłby się do niej z całą serdecznością, ale boi się tych zobowiązań, jakie przeczuwa w każdym pocałunku żony. Poprostu ona pocałunkiem chce go wydać na męki, w ręce Gustawa, społeczeństwa, państwa.

Zdaje sobie sprawę, że żadne tłómaczenie, usprawiedliwianie, nie zdołają zrównoważyć pragnień jego żony; zresztą pragnienia, te są przeciętne; chce mieć co jeść, ubrać się wychować dzieci, wyrzucić sublokatorów. Na to potrzeba tylko tygodniowo jeden z wagonów kolejowych przemycić do Krakowa. Jest to napozór rzeczą dość łatwą, dostępną i wykonalną dla niego, odpowiedzialność jednakże spada olbrzymia: sumienie, które rozkłada się na strach, żal, wstręt. Strach przed wykryciem i karą śmierci, choćby nawet dożywotniego więzienia, żal państwa i społeczeństwa, nazwiska, dzieci, wstręt przed czynem. — Zbrodnia staje się straszna dopiero po uczynku. — To zdanie czytane gdzieś, czy słyszane, dzwoni mu w uszach, zagłusza szept żony. Przecedza wszystko to przez komórki mózgu, Przyznaje jej słuszność, ale rąk i sumienia nie splami.

Boi się dnia jutrzejszego. Niewidzialną siatką pajęczyn pokusy oplątał go ten człowiek. Czy zwalczy? Zastanawia się nad tem pytaniem, zdaje sobie sprawę, że przeciw niemu sprzysięgło się wszystko: życie nędzarza, fałszywy blask dyamentu, Gustaw, i wszystko co go otacza. Podobnież ocenia żonę. Także jest opętaną przez szatana, wiedziona na pokuszenie i jako kobieta, istota słabsza, łatwiejsza do uwiedzenia, Zdaje mu się, że coś z Chrystusowych cierni spoczęło na jego czaszce, wżarło się w mózg. Oto jest wiedzion przez szatana na górę jerozolimską, gdzie przepych i bogactwo miasta u stóp jego legnie za cenę jednego upadku. Wszyscy sprzysięgli się na niego. Nawet poczciwy dziadziuś bezzębnymi ustami ssie łapczywie unoszące się dymy bogactw miasta... Człowiek urodzon jest, by walczyć z życiem o byt. Walczy w człowieku dobre ze złem o cenę bytu i żołądka. On czuje się silnym! Odpędzi pokusę tak, jak złe widmo krzyżem, słowem i uczynkiem. Senność powoli zamyka mu oczy, zasypia. W półśnie słyszy jeszcze szept żony, nakłaniający go do uczynku.

Kobieta ta poprotu nie zdaje sobie sprawy z walki, jaka toczy się na dnie serca męża. Uważa go za człowieka słabego, którego życie depcze ustawicznie. Trzeba żelazną ręką pchnąć los swój naprzód, potoczyć się za nim pięściami rozpychając świat. Wcale nie jest zła, tylko widzi, że ludzie tak robią i dobrze im się powodzi. Ona także chce raz żyć, pracując mieć pełny kęs chleba.

Mimo silnych postanowień, wieczorem pojechali autem na miasto. W domu pozostał dziaduś i Helenka, Władzio zaś otrzymał bilet od Gustawa do kina.

Prybowska ze wzruszeniem wsiadła w auto. Przypominało jej to uroczyste chwile, gdy ruszyli powozem do ślubu. Wówczas zapowiedź nowego życia jasną smugą oświetliła szare, panieńskie życie córki podupadłego rękodzielnika. Czuła się wówczas dumną, szczęśliwą, wierząca w przyszłe, szczęśliwe życie. I znów los poczyna się nawracać do nich, dni radosne, bez trosk pędzony żywot stanie przed nimi. Prybowski siada ociężale, niechętnie i nieufnie. Wspaniałe

auto przypomina mu karetkę pogotowia, w której ludzie przewożeni są do miejsc wiecznego smutku: szpitali, domów dla obłąkanych. Zdarza się, że w karetce takiej ludzie umierają i ci nieraz są szczęśliwsi od tych, którzy dotarli do miejsc przeznaczenia.

— Wyjedziemy za miasto — tłómaczy Gustaw — zobaczycie państwo jaką piękną realność i śliczną willę kupiłem przy rogatce. — Nachyla się swobodnie ku Prybowskiej i mówi:

— Chętnie odstąpilibym państwu na znośnych warunkach. Sądzę, że za kilka tygodni moglibyśmy rachunek wyrównać.

Mówiąc to uśmiecha się słodko, znacząco. Ale pan Antoni spuszcza głowę w dół i milczy. Oczy pani Katarzyny płoną ogniem wdzięczności.

Przejażdżka trwała dobrą godzinę. Próżno wysilał się Gustaw i Prybowska, pan Antoni był smutny, przygnębiony i milczący.

— Pan Antoni oblicza — roześmiał się Gustaw — wiele może kosztować ta willa. Proszę się nie martwić, wszystko będzie zrobione.

Prybowski myślał o szatanie kusicielu, córce, synu, żonie i urzędzie. Ożywił się dopiero przy kolacyi, po wypiciu kilkunastu wódek, któremi hojnie raczył przed kolacyą Gustaw. Tony orkiestry, śmiechy, gwar życia kawiarni, wyrwał go z martwoty; wspomnienia młodych lat ożyły i poruszyły krew.

— Szkoda, żeśmy nie wzięli Helenki! — zauważyła matka — moja córuchna bardzo lubi muzykę!

— Pojadę po nią — Gustaw odrzekł.

— Nie! Nie! — zaprotestował Prybowski — jest już późno, zapewne już śpi. Zresztą nie jestem za tem, żeby dzieci w restauracyi, czy kawiarni, w nocnych porach przebywały.

Prybowski począł rozmyślać o córce. Ze wszystkich, najwięcej ją kochał. Była poczciwem, dobrem dzieckiem.

— Co ona teraz robi? — rozważa.

Ale Helenka nie spała. Gdy rodzice wyjechali automobilem pozostała z dziadusiem, który wydłubawszy okruszyny tytoniu, nałożył do ulubionej fajeczki, pociągnął dymy i poszedł do kuchni.

Helenka została sama. Słyszała gdy nieznajoma lokatorka przyszła do mieszkania i otworzyła własnym kluszem drzwi do przedpokoju. Jakiś mężczyzna razem z nią wszedł. Śmiejąc się coś wesołego opowiadał. Głos jego metaliczny, czysty, dzwonił jej w uszach. Mimo podwójnych drzwi, urywane słowa dobiegały i drażniły jej słuch. Czytała jakiś romans francuski, lichą polszczyzną tłumaczony, anegdoty pieprzne Mirbeau'a.

Życie, było dla niej tajemnicą. Chowana była w nieświadomości jego przejawów.

Helenka mimo, że nikt jej nie mówił, wie co to za kobieta i świadoma tego, że to coś z tajemnicy życia tam w pokoju sublokatorki się dzieje. Ciekawość jej jest podrażniona.

Opiera się jakiejś nieznanej woli, która kroki jej kieruje do przedpokoju.

Zagląda przez dziurkę od klucza. U stóp sublokatorki klęczy nieznany mężczyzna; w tejże chwili słyszy kroki dziadziusia, który z kuchni przechodzi do pokoju. Strwożona jak sarenka umyka i ukrywa się za parawanem; prześladuje ją, że dziaduś szukać ją pocznie, ma zamiar doskoczyć do drzwi, udawać, że ktoś dzwonił i ona odmyka drzwi, jednakże kroki dziadusia dotarły do przedpokoju i wstrzymały pierwotny jej zamiar.

Dziaduś przyłożył ucho do drzwi sublokatorki i słuchał chichotu i wesołej rozmowy, młodej pary.

Młodzieniec śmieje się serdecznie. Dziaduś przeciera ucho i w chwili gdy przykłada oko do dziurki od klucza, Helenka cichutko wysuwa się na paluszkach. W progu przedpokoju dzwonek wstrzymuje ją; to rodzice wracają z kawiarni. Dziaduś zmieszany otwiera drzwi, Helenka bezradnie staje w progu.

— Czuwacie? Nie spicie? — pyta pani Prybowska!

— Tak! Tak — szepcze dziaduś.

— Tak! Tak — szepcze Helenka i cofa się do wnętrza pokoju!

Prybowski chwieje się na nogach. W rękach trzyma jakieś zawiniątko papierzane, które kładzie na stole i usiada na krześle.

Jest kompletnie pijany. Również i Prybowska zlekka kołysze się przy zdejmowaniu żakieta.

— Trzysta tysięcy — mówi.

Żona odprawia dziadusia i córkę do pokoju. W tejże chwili przybył Władzio.

— Dziaduś? — mówi ze śmiechem do dziadusia — gdzie dziaduś był. Także i Helka gdzieś się ukryła. Jestem od pół godziny w domu, nikogo nie było.

Mówiąc to uśmiecha się szelmowsko do dziadka, patrzy z podełba na Helenkę. Matka wypycha ich do pokoju, nie zwracając uwagi na łobuzerstwa syna.

— Trzysta tysięcy — powtarza Prybowski.

— Zaraz jutro pójdziemy na kupno! Kupi się żakiet dla Helenki, buciki Władziowi. Tobie trzeba ubrania i bielizny. Przedewszystkiem mój kochany, trzeba jutro wyrzucić lokatorkę. Dość tego podłego życia.

— Trzysta tysięcy — powtarza Prybowski — musimy wyrzucić lokatorkę. Ja takich w mieszkaniu mojem nie dłużej zniosę — podnosi głos Prybowski.

— Ależ naturalnie — zapewnia żona.

— Trzysta tysięcy — zarobiłem na to, żeby oczyścić się z upodlenia, rozumiesz.

— Ależ rozumiem!

— Tak z upodlenia. Zarobiłem — głos mu się urywa, zastanawia się głęboko nad ostatnio wypowiedzianem słowem.

— Właściwie nie zarobiłem — mówi do żony, pochylony nad banknotami — ukradłem, sprzedałem duszę djabłu, właściwie pieniądz ten wyciągnięty z brudów ma wyprać brudy — chwyta garść papierów w dłonie i wznosi je w kierunku żony — masz! to twoje! Sprzedałem się dla was! Chcąc się oczyścić z życia popełniłem łotrowstwo. Cóż mi z tego, że przechodzę z jednego upodlenia do drugiego?

Żona rozbiera go i kładzie do łóżka. Mimo zmęczenia, przepicia nie może zasnąć, rozmyśla i trzeźwieje.

Opłatało go życia znienacka, zdradziecko i przycisnęło głazem olbrzymim, który go dusi, Niewidzialna siła podtrzymuje ciężar, ale każdej chwili może rozmiażdżyć. Jest atomem, plazmą zamkniętą w szklance, skazaną na zatracenie. Kto mi to uczynił? Życie, no tak to przyczyna! Nad przepaść przywiódł mnie, ten szatan, ta gangrena Gustaw. Poprostu zaraził go gangreną. Ba zatruł wszystkich. Żonę, dzieci, dziadusia, jego. W organiźmie społecznym, narodowym oni wszyscy staną się plazmą gangreny. Trzeba uciąć zarażone miejsca, wypalić plazmy, odłączyć trądem tkniętych. — To zrobią, to powinni uczynić z nim. Waściwie — rozmyśla — moja żona winna.

Febra trzęsie nim, febra strachu. Spogląda na żonę przez lekko otwarte powieki. Rozebrawszy się, kładzie się do łóżka.

W tej chwili płonie ku niej wściekłą nienawiścią rannego, osaczonego zwierzęcia. Zraniony ciężko zatrutym pociskiem zaszył się w kąt, osaczony wyczerpany ze zmęczenia, z upływu krwi udaje zabitego. Oto wkradają się cicho sprawy jego męki i czychają na ostateczną zagładę. Ostatnim wysiłkiem chce zemścić się, chce zagryść wrogów. Ręce jego parte siłą wewnętrzną nienawiści bezwiednie wyciągają się, wydłużają..

W tejże chwili dzwonek przedpokoju gwałtownie dzwoni. To sublokatorka wraca zapomniawszy zabrać kluczy.

Prybowska klnąc pod nosem, zrywa się, wdziewa szlafrok i wychodzi otworzyć drzwi. Obdarza sublokatorkę stekiem wyzwisk, otrzymuje odpowiedzi dziesięciokrotne. Kłócą się, wreszcie rozchodzą gniewnie, trzaskając drzwiami.

— Zajście trwało dobrą ahwilę. Gdy wróciła do sypialni mąż spał już w najlepsze z wyciągniętemi ku niej rękoma, z zaciśniętemi pięściami.

Miała ochotę przebudzić go, ale czując się senną i wyczerpaną wsunęła się w kołdrę rozmyślając o pieniądzach, jutrzejszych sprawunkach i przyszłem życiu.

Rankiem Prybowski szedł do biura z głową ociężałą i miał wrażenie, że przeszedł straszny sen, na którego wspomnienie kurcz przechodzi ciało.

— „Zło" wchodzi samo w dłonie człowieka, rozmyśla w urzędzie, pełniąc codziennie służbę. Szef zajęty służbowo poza biurem zostawił mi kilkanaście wolnych blankietów z własnoręcznym podpisem. To nad czem wysilał mózg, układał postępne plany, ślizgnęło się w jego ręce, pokryte zaufaniem wieloletniej, uczciwej służby. Czy może zdradzić zaufanie? Czy powinien zdradzić. Nie! Nie wypełni blankietu, odrzuci wszystko precz.

Wychodząc z biura zabiera resztę wolnych blankietów, chowa do kieszeni. Nie wypełni ich Bierze ich z sobą, jutro odda w całości szefowi. Mógłby ktoś przywłaszczyć sobie. Dawniej nie przypuszczał, żeby te skrawki papieru mogły mieć tak wysoką cenę. Poznawszy wartość, chce je dobrze uchronić.

Wyszedł wcześniej ze służby. Musi się trochę przejść, zastanowić co dalej czynić, zebrać dalszą energię do walki, do zerwania ze wszystkiem co go dławi. Głód, nędza nie przeraża go. Musi zerwać z Gustawem, z sublokatorami, nawet z żoną i rodziną. Niech raczej zginą z nim z nędzy, niżeliby miał staczać się w kanał, pociągając ich wszystkich za sobą.

Przechodzi obok wystaw sklepowych, bezwiednie zatrzymuje się przed magazynem z bronią.

— Doskonale — postanawia — kupię rewolwer, zagrożę żonie, Gustawowi, że raczej odbiorę sobie życie niźli popełnię to, co żądają.

— W każdej walce, należy nietylko wytężyć całą energię, spryt, ale mieć broń do walki. Gustaw ma pieniądze, ja będę miał broń — rozważa.

Właściwie nie ma poco się spieszyć do domu. Postanawia iść do restauracyi, przeczekać czas aż do zamknięcia sklepów, ażeby nie iść z żoną kupować planowanych rzeczy.

Spotkali go znajomi z przed laty. Po kilku kieliszkach zbratani idą do gabinetu.

Prybowski pije na umor, zapić chce wspomnienia, straszną chwilę jaką przeżył ostatniego wieczora, nabrać chce odwagi do życia i walki. Ma ochotę biesiadnikom otworzyć duszę i serce, wyspowiadać się, szukać rady i pocieszenia, gdy w tej chwili zjawia się Gustaw. Szukał go automobilem od szeregu godzin, w ważnej wiadomej sprawie.

— Nie idę! — opiera się Prybowski.

— Ależ panie Antoni, żona czeka, ja mam ważne sprawy również z panem załatwić.

— Jutro — odpowiada szorstko — dziś mój dzień. Panowie — krzyczy do biesiadników — dzisiaj moje odrodzenie.

— Urodziny — poprawia jeden z biesiadników.

— Nie, odrodzenie — krzyczy podniesionym głosem — panie Gustawie, prawda odrodzenie — mówiąc to wytężając patrzy w oczy Gustawa! — Rozpoczniemy panie Gustawie nowe, inne życie — śmieje się nerwowo, tak że zwraca uwagę wszystkich.

— O tak! Nowe życie — potwierdza Gustaw, przypuszczając, że Prybowski jest całkiem zdecydowany do jego planu. Ale panie Antoni pojedziemy do domu.

— Jedźmy! — odpowiada.

Gustaw płaci rachunek, żegna się z kolegami i wchodzą do auta.

Prybowski wtula się w róg auta, usiłuje zasnąć.

— Panie Antoni! Czy wszystko w porządku?

— He?

— Czy ma pan potrzebne dokumenty?

— Mam, odpowiada Prybowski i rękami szuka po kieszeniach pieniędzy otrzymanych wczoraj od Gustawa. Wyciągnawszy z kieszeni zwój banknotów razem z jakimiś papierami rzuca Gustawowi.

— Co to, pieniądze? — pyta nerwowo Gustaw.

— Tak pieniądze — weź i idź precz! Szatanie, kusicielu, gangreno!

Pomiędzy poniądzmi Gustaw spostrzega dokumenty.

— Oddaj! — krzyczy Prybowski.

Gustaw chowa pospiesznie papiery, usiłuje wręczyć pieniądze z powrotem.

Prybowski wyciąga rewolwer z kieszeni.

— Słuchaj ja się zastrzelę! ja nie mogę! ja nie chcę! Zastrzelę się!

— Zastrzel się! — śmieje się i szydzi Gustaw.

Śmiech szyderczy oprzytamnia Prybowskiego.

— Oddaj!

Gustaw się śmieje i szepta:

— Jutro pomówimy.

Ręka Prybowskiego uzbrojona rewolwerem wyciąga się bezwiednie, błyskawicznie w stronę Gustawa. Strzał rewolwerowy zatrzymuje auto, wytrąca rewolwer z ręki drżącego na pół przytomnego Prybowskiego. Za chwilę rusza auto w dalszą drogę, wioząc pod silną eskortą Prybowskiego i ciało Gustawa. Ręka prawa spoczęła na Prybowskim, niewidzialny miecz sprawiedliwości zawisł nad nim.

— Zbrodnię odkupiłem zbrodnią — szepta cicho do sędziego — sądźcie mnie przeto i karzcie.

KONIEC.

# Kronika tygodniowa

Znajdujemy się zatem w pierwszym okresie r. 1922. to jest w karnawale, który będzie stosunkowo bardzo długi, wypełni bowiem całe dwa miesiące. Styczeń i luty przepędzimy zatem pod znakiem pączka, pod znak śledzia wejdziemy zaś punktualnie w dniu pierwszego marca.

Tegoroczny karnawał zapowiada się doskonale, niema tygodnia bez jakiegoś balu publicznego, nie licząc prywatnych zabaw, znanych dawniej pod popularną nazwą „tańcujących herbat lub pączków“, które zwłaszcza w domach, gdzie były panny na wydaniu, cieszyły się ogromną frekwencyą młodzieży, nie tyle ze względu na zabezpieczenie sobie przyszłości w związku małżeńskim „z córką obywatelską“, ile raczej dla gratisowego a należytego wzmocnienia swego wątłego ciała, w każdym domu spotykało się bowiem nie tylko z gorącem przyjęciem, ale i gorącą i obfitą przekąską, mającą młodemu człowiekowi dać przedsmak rajskich rozkoszy, jakiego czekają po usłaniu sobie rodzinnego gniazdka.

Dziś prywatne i publiczne zabawy w karnawale straciły dużo na swem znaczeniu, aby się bowiem wytańczyć, nie trzeba cały rok czekać na ten okres, ale można w każdej innej porze puścić nogi w ruch, jak rok bowiem długi, odbywają się zabawy taneczne pod różnemi nazwami. Wzięcie udziału w zabawie publicznej połączone jest obecnie z takimi kosztami, iż nie sprosta im kieszeń zwykłego śmiertelnika, prywatne straciły zaś atrakcyę, gdyż pozostało jedynie gorące przyjęcie, a odpadła gorąca przekąska. Nie należy jednak sądzić, aby to miało wpłynąć ujemnie na ożywienie karnawałowe w roku bieżącym, czego dowodem, iż, choć karnawał trwa dopiero drugi tydzień, nasz sprawozdawca balowy zażądał już nadzwyczajnych kredytów na sprawienie sobie nowych lakierów, gdy dotychczas zdobiące jego pedały wymówiły mu już posłuszeństwo. Prywatnych zabaw także nie brak, szklanka gorącej herbaty i bodaj jeden pączek do niej mają w dzisiejszych ciężkich czasach nie mniejsze znaczenie, jak dawniej ciepła kolacya złożona z kilku dań.

Wobec zajęcia się karnawałem, mniej się też każdy zajmuje polityką i niewiele go obchodzi, co się dzieje wewnątrz kraju, a tembardziej poza jego granicami, ten i ów tłómaczy sobie, że zabawa karnawałowa wyjść może tylko na jego korzyść, im więcej bowiem wyda obecnie pieniędzy, tem mniej będzie mógł wykazać posiadanego majątku, mniej zatem ściągną z niego daniny, na rzecz skarbu państwowego poniesie przecież pewne ofiary, gdyż wydatki karnawałowe na artykuły tego rodzaju, jak naprzykład szampan zasilają poważnie także i kasy rządowe. Przyjemne jest w tym wypadku zatem połączone z pożytecznem.

O nocy Sylwestrowej pisaliśmy już poprzednio, dziś możemy dodać tylko tyle, że podatek na rzecz ubogich, ustanowiony przez magistrat krakowski w kwocie [illegible] tysięcy marek za godzinę od jedenastej do pierwszej, a następnie 40. tysięcy za każdą dalszą, przyczynił się do pozbawienia wielu osobników zakończenia starego roku i powitania nowego w knajpie, pakując ich natomiast do łóżka, co im oczywiście wyszło nie tylko na pożytek, ale i na zdrowie. Mniejsze restauracye i kawiarnie lub cukiernie, gdzie przy bombce piwa, lub szklance herbaty oczekiwało się po inne lata zmiany roku, już o jedenastej zamknęły swe podwoje, nie mogąc sobie pozwolić na wydatek conajmniej czterdziestu tysięcy, które zapłacić musieliby, rzecz prosta, goście, trzeba jednak byłoby pobierać od nich tytułem wstępu conajmniej po jakie 500 marek od osoby, gdy dana jednostka rozporządzała na „zabawę Sylwestrową“ nie większą od tej kwotą. Siedzieć zaś przy pustem stole, lub czekać, aż ktoś coś zafunduje, to nie żadna przyjemność, smutne zakończenie starego roku i kiepska wróżba dla rozpoczynającego się. Wobec tego nie pozostało nic innego do zrobienia, jak, chwaląc mądrość magistratu, pójść do domu, położyć się do łóżka i śnić o dawnych Sylwestrach, gdy, mając piątczynę w kieszeni, można się było zabawić całkiem przyzwoicie, a nawet dopiero nad ranem niepewnym krokiem wrócić pod dach rodzinny.

Już to trzeba przyznać naszemu magistratowi, że, jeśli co obmyśli, to tak trafnie, że lada kto nie zdobyłby się na taki pomysł. Rachuby jego zwykle jednak zawodzą i tak, a nie inaczej było też z owym podatkiem Sylwestrowym, który miał bardzo poważnie zasilić kasę miejską w rubryce funduszu dla ubogich. Inicyatorom wydawało się, że napłynie w ten sposób tyle gotówki, iż każdemu z krakowskich dziadów, a jest ich dosyć, będzie można kupić jeśli nie kamienicę, to bodaj parcelę na gruntach pofortyfikacyjnych, które w ten sposób raz przecież znajdą nabywców. Niestety, spaliło na panewce, ale może to i nawet i lepiej, bo i cóżby wtedy miało do roboty Biuro ubogich w magistracie?... Wobec ich braku, należałoby je zwinąć, a w ten sposób pozbawiłoby się pracy tylu ludzi i położyło podwaliny pod stworzenie nowego dziadowskiego pokolenia.

Niejednokrotnie zastanawialiśmy się już nad tem, na co obracane bywają wpływy na fundusz ubogich, pochodzące z różnego rodzaju podatków, opłat, kar i td., gdyby bowiem wszystkie pieniądze te przeznaczono na właściwy cel, dziś w Krakowie nie powinnoby się spotkać ani jednego żebraka, gdy natomiast z wywiadów z nimi dowiadujemy się, że świadczenia gminy na ich rzecz są tak minimalne, że, gdyby skazani byli tylko na nie, dawno już pomarliby z głodu. Ratuje ich jedynie dobroczynność prywatna, największą zaś szkodę i krzywdę wyrządza im, jak sami utrzymują, kategorya tak zwanych „pańskich dziadów“, cieszących się daleko większymi względami u sfer miarodajnych, niż oni, dla których żebranie jest jedynym środkiem zarobku i utrzymania. Czytając o owym magistrackim podatku Sylwestrowym na rzecz ubogich, kiwali też z powątpiewaniem głowami, czy im coś z tego kapnie, wiadomość zaś, że zrobił fiasko, nie wywołała zbytniego zdziwienia ani smutku.

Zamknięcie rachunków owego funduszu ogłaszane bywa wprawdzie corocznie, ale mówi tak mało, iż trzeba być głęboko wtajemniczonym w nasze stosunki gminne, umieć czytać między wierszami, a resztę dośpiewać sobie w duszy, aby się dowiedzieć na pewne, kto właściwie korzysta z pieniędzy, przeznaczonych na osłodzenie gorzkiej dziadowskiej doli i czy ta pomoc, w kierunku, w jakim się jej udziela, jest racyonalną, to jest, czy przypadkiem nie słodzi życia tam, gdzie ono i bez niej jest dość słodkie.

Inna rzecz, że większość naszych krakowskich zawodowych tak zwanych dziadów bez pomocy i opieki magistratu obejść może się zupełnie i na nią też nie liczy, a z pewnością żaden z nich nie zamieniłby się z pierwszym lepszym umysłowo pracującym inteligentem, chociażby nawet zarabiającym trzydzieści tysięcy marek miesięcznie, to jest tysiąc dziennie, gdy natomiast ich uczciwy dochód wynosi nieraz po kilka tysięcy, nie krępuje ich ustawa o ośmiogodzinnym dniu pracy zawodowej i spoczynku niedzielnym. Szanujący się dziad nie odmawia sobie wobec tego rozmaitych przyjemności, uczęszcza do kina i teatru, rodzinę swą wysyła na lato na świeże powietrze, najchętniej w okolice Kalwaryi, by z okazyi odwiedzania jej urządzać tamże występy gościnne. Mają też krakowskie dziady swój humor i werwę, jakich mógłby im pozazdrościć niejeden z tych, którzy od czasu do czasu skromną mareczką zasilają ich kabzy i to ze strachem, czy przypadkiem zamiast podziękowania nie usłyszą słów, nic z niem wspólnego nie mających.

Ponieważ wspomnieliśmy wyżej o kategoryi tak zwanych „pańskich dziadów“, dla objaśnienia nie znających krakowskich stosunków dodać musimy, że są to ludzie, którzy „wstydzą się pracować“ i prowadzą żywot jako owi biblijni „ptakowie niebiescy, którzy ani orzą, ani sieją“, a przecież dzięki właśnie owej dobroczynności publicznej wiedzie się im wcale znośnie, urządzają poobiednie kawusie, podczas których obgadują bliźnich, narzekając stale na ciężkie czasy i na los prześladujący ich lub je „niewiadomo za jakie winy“. Jedyną ich zaletą stałe odwiedzanie kościołów, nie tyle z potrzeby serca, ile raczej, aby się ludziom pokazać i przypomnieć ich pamięci, ponadto branie udziału w dziełach dobroczynności publicznej, ale tylko tam, gdzie coś można na tem zyskać. Zajmują się zatem bardzo chętnie zbieraniem fantów, urządzaniem kwest i went gospodarskich, rozdziałem amerykańskich darów, jeśli zaś przy tej sposobności skorzystają coś dla siebie, tego im chyba nikt za złe wziąć nie może, boć nawet Pismo święte mówi, że „kto kościołowi służy, ten z kościoła korzysta“.

I do nich to właśnie czują zawodowe dziady głęboką urazę, narzekając gorzko na brudną konkurencyę, jaką im robią na każdym kroku.

Ani się oglądnęliśmy, a kronika z karnawałowej zamieniła się w dziadowską, temu jednak winien nikt inny tylko magistrat, który chciał porobić z dziadów milionerów. A pozostaje nam jeszcze ostateczne załatwienie się z ubiegłym rokiem i dorzucenie garści wspomnień do jego historyi, by tak łatwo i prędko o nim nie zapomnieć.

Wypadałoby zatem zająć się zregestrowaniem najbardziej obchodzących nas wypadków politycznych, spotykamy się jednak z bardzo trudnym wyborem, od czego zacząć, by nie ściągnąć na siebie zarzutu, że szukamy dziury na całem i usposobieni jesteśmy tak pesymistycznie, jak nie przymierzając p. Rabski, gdy chodzi o były zabór austryacki. Ale trzeba przyznać, że, gdzie sięgnąć spotykamy się w owej politycznej beczce z samemi takiemi tylko sprawami, które nie przynoszą nam ani korzyści, ani chluby. Najważniejsze sprawy spycha się u nas, byle się ich pozbyć z przed oczu, a nikomu ani na myśl nie przyjdzie, aby się nad tem zastanowić, jakie też może to pociągnąć za sobą następstwa. Sąsiedzi nasi, nawet słabsi od nas, postępują inaczej, to też świat liczy się z nimi, gdy natomiast nas nauczył się już bagatelizować i robić sobie z nami, co się mu żywnie podoba.

Świeży tego dowód mamy na sprawie wileńskiej, której początek rozstrzygnięcia przypada na dzień 8. stycznia, zatem w dniu, kiedy kronika przelaną już została z kałamarza na papier.

Jaki zaś będzie wynik wyborów do Sejmu wileńskiego, o tem dowiedzią się czytelnicy wcześniej z pism codziennych, niż od kronikarza, który tą sprawą interesuje się bardzo, dziś jednak nic jeszcze o niej powiedzieć nie może, zwłaszcza, że wypadki ostatnich lat nauczyły nas, że zawsze i wszędzie trzeba być przygotowanym na niespodzianki i to, najczęściej, na naszą niekorzyść wychodzące. Nie jest to złowróżbne krakanie, jak kto może mógłby się wyrazić, każdy jednak przyzna racyę kronikarskim obawom, jeśli zważy, że prawie wszystkie najważniejsze sprawy dotychczasowe skończyły się dla nas wprawdzie bardzo prędko, prędzej nawet nie się spodziewaliśmy, lecz w sposób przez nas zgoła nieoczekiwany. Stanowisko tak zwanych Litwinów jest wobec nas zasadniczo nieprzyjazne, a jest to owocem wrogich nam sąsiadów, którzy potrafili litewskie i białoruskie koła przekonać o tem, że Polacy są ich nieprzyjaciółmi. Litwomani występują też stale i otwarcie przeciw nam, a w obronie rzekomej swej zupełnej samodzielności, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest to właściwie robota *pour le roi de Prusse*, maleńka Litwa bowiem, choćby nawet osiągnęła ten cel, ku któremu ją pchają, musiałaby szukać oparcia o któregoś z potężniejszych sąsiadów, a do tego właśnie dążą Niemcy i swemi markami starają się dla siebie o wyrobienie tam popularności. Mała rybka zostałaby więc połknięta przez żarłocznego szczupaka, który zawsze ostrzył sobie zęby na jej naturalne bogactwa i zdaje mu się, że teraz właśnie nadeszła chwila realizacyi dawno powziętych planów.

Gorzej jednak, że w łonie samych Polaków, obszary te zamieszkujących, niema zgody, a poszczególne stronnictwa, zwalczając się wzajemnie, tem samem i osłabiają się także. Agitacya w tym kierunku idzie ze samej Polski, rozłam między partyami staje się coraz większy, a to chyba na korzyść sprawie polskiej wyjść nie może. I stanowisko żydów nie jest zbyt wiele obiecujące, uzuchwaleni bowiem powodzeniem, jakie udało się im zdobyć w sowieckiej Rosyi, którą jak sami powiadają, rządzą obecnie, żądają od Polski, w zamian za poparcie jej interesów, tak daleko idących dla siebie koncesyi, że trudno spodziewać się, by się na coś podobnego mógł ktoś zgodzić. W razie odmowy grożą wystąpieniem przeciw i powołają się na swą siłę.

Wszystko to razem wzięte nie może być uważane za objawy dla nas zbyt pocieszające, jeśli zaś doda się do tego, że ostatnie słowo w rozstrzygnięciu zechce zabrać Koalicya i już to zapowiedziała, choćby nawet lud, zamieszkujący te obszary, wypowiedział się za nami, wątpliwem jest jeszcze, czy ci, którzy postawili teoryę samostanowienia ludów o swym losie, zechcą tę decyzyę przyjąć do swej zatwierdzającej wiadomości. Co innego bowiem teorya, mogąca brzmieć bardzo pięknie, co innego zaś praktyka, uwzględniająca interesy, lecz bynajmniej nie tych, których los właśnie w grę wchodzi.

Jak ma być, niech się stanie, byle jaknajprędzej to bowiem prowizoryum, w jakiem obecnie żyjemy staje się już dla nas wprost nieznośnem. Ale i na tem jeszcze nie koniec. Zostanie nam jeszcze do przełknięcia jedna pigułka, i to bardzo gorzka, a jest nią sprawa ukraińska.

Karnawał nie nadaje się jednak do rozstrząsań politycznych, które daleko odpowiedniejszym materyałem są na czas Wielkiego Postu, kiedy należy umartwiać nie tylko ciało lecz także i ducha. Na ten wesoły okres odpowiedniejsze są daleko, jako pouczająca i rozweselająca lektura, poważne artykuły *Kuryerka* naprzykład na temat napychania człowiekowi wiadomości w czasie snu, przy pomocy specyalnego aparatu, który mu będzie dmuchał do ucha uczone referaty z różnych zakresów wiedzy. Im dłużej zatem spać się będzie, tem się będzie mądrzejszym, najgłupsza indywidyum po „umiejętnie“ przespanej nocy starać się może nazajutrz o docenturę na Uniwersytecie. *Kuryerek* zastrzega się wprawdzie, że wiadomość o tem kształceniu się we śnie pochodzi z Ameryki, sprawę jednak traktuje tak seryo, jak gdyby w samej rzeczy wierzył, że to prawda, a nie amerykański humbug.

się zowie porządnie!... Że praca tam idzie naprzód, zapał jest — dowodem tego liczne odśpiewane poprawnie Msze i Oratorya, dowodem niemały grosz, jaki to Towarzystwo występami swymi potrafiło zebrać już na różne dobroczynne cele, dowodem wykonana w Trzech Króli w Teatrze „Bagatela" „suita pastoralna" K. Garbusińskiego p. t. „Boże Narodzenie". Powinszować można już tak w chórze do-



**Twórcy niepodległej Irlandyi** Eamon de Valera, dotychczasowy prezydent irlandzkiego Zgromadzenia Narodowego.

brze dobranych i zgranych głosów. Chóralne partye stanowiły też najlepszą część całej suity. Dzielnie sekundowali soliści (pp. Mazanek, Stępniowski i in.). U p. Garbusińskiego i jako kompozytora i jako dyrygenta, widać było szczery zapał i dbałość o jak najlepsze rezultaty.

Słyszymy, że sympatyczne to Towarzystwo przygotowuje już nowe utwory. Życzyć mu tylko wypada, by w pracy i zapale nie stygło, owszem, zjednywało sobie na coraz zasłużeńszem uznaniu i laurach. Mieszkańcy Krakowa (zwłaszcza o dobrych głosach) powinni tłumnie pomnażać ilość i siłę tego Towarzystwa. *b—i.*

---

## W obronie zagrożonej Europy.

Odbywające się obecnie w Cannes posiedzenia Rady Najwyższej mają na porządku dziennym oprócz właściwych dwu punktów programu, to jest kwestyi odszkodowań i zwołania konferencyi międzynarodowej, na celu także i utworzenie międzynarodowego konsorcyum wielkich finansistów Anglii, Francyi, Belgii, Włoch i Niemiec, które zajęłoby się odbudową Europy i sanacyą przedewszystkiem stosunków w Rosyi, udzielając pomocy zniszczonym krajom, a ujmując w zamian w swe ręce eksploatacyę ich skarbów przyrodzonych i tworząc z nich zarazem rynki zbytu dla swego handlu i przemysłu. Równałoby się to wydaniu Europy na łup wielkiej, a silnie zorganizowanej finansyery, groźniejszej dla świata, niż nawet dawny imperyalizm niemiecki. Szczegóły projektu omawiano na ostatnim zjeździe Lloyd'a George'a z Briandem, zdołano się porozumieć z Rathenauem i Krassinem, a dojście do skutku tego nowego „środka ratunkowego" miałoby za sobą pociągnąć przedłużenie moratoryum dla Niemiec, które swe zobowiązania spłacałyby z udziału w zyskach, osiągniętych przez powyższe konsorcyum.



**Kłopoty angielskie w Egipcie**: Jeden z głównych przywódców nacyonalistów egipskich basza Saad Zaghloul, przemawia w Kairze do tłumów, zebranych pod gołem niebem.

Część prasy francuskiej, niedoceniając widocznie doniosłości tej sprawy i szkodliwości jej dla całego świata, przedewszystkiem zaś dla Francyi, godzi się na to, przeciw występuje ostro obóz nacyonalistów francuskich z byłym prezydentem Poincaré, uważając w ten sposób załatwienia kwestyi odszkodowań za zdradę wobec poległych w światowej wojnie i najzupełniejsze zaprzepaszczenie owoców zwycięstwa. W mowie swej, wygłoszonej niedawno w Bordeaux, zwraca on uwagą na to swych rodaków, zaznaczając, że dojście do skutku projektu Brianda i Louchera równałoby się własnowolnemu dopomaganiu Niemcom do wzrostu ich potęgi na niekorzyść Francyi. Zapowiada też ostrą walkę z Briandem na tem polu.

Poincarè, występując jako obrońca zagrożonych interesów francuskich, staje się tem samem rzecznikiem i obrońcą tych krajów, między nimi i Polski, które w danym wypadku dostałyby się w finansową zależność owego konsorcyum i, zamiast pożytku, poniosły tylko szkodę, daleko większą, niż wyrządzona przez wojnę. O ich handlu i przemyśle i mowy byćby nie mogło, dostałby się on w zupełną zależność od obcego kapitału, owa zaś „odbudowa" byłaby dla nich prawdziwą ruiną.

Ostrzegawcze słowa Poincarègo znajdą może posłuch i otworzą oczy zaślepionym, wiele zależy także od stanowiska, jakie w tej kwestyi zajmie Ameryka, która w obradach dotychczasowych udziału nie brała, a bez jej sankcyi i zgody sprawa nie może być załatwioną.

Stanowisko Poincarégo i jego wystąpienie w tej sprawie ściągnęło też nań i na jego obóz gromy prasy, pozostającej na usługach wielkich finansistów całej Europy i zarzut, że utrudnia Niemcom wywiązanie się z przyjętych na się zobowiązań.



**Twórcy niepodległej Irlandyi** Artur Griffith, irlandzki minister [illegible]

---

## Kłopoty angielskie w Egipcie

Jednej z trzech bolączek, jakie jej w ostatnich czasach dolegały, to jest sprawy irlandzkiej, pozbyła się Anglia dość lekko i szczęśliwie, pozostałe jej jeszcze dwie, nierównie przykrzejsze, Indye i Egipt.

Polityka angielska, dążąca do owładnięcia najważniejszemi drogami morskiemi, kazała się Anglikom silnie usadowić w Egipcie, do czego przyczyniło się osłabienie Turcyi bezpośrednio przed wojną, a następnie oświadczenie się jej za mocarstwami centralnemi, co spowodowało faktyczną aneksyę Egiptu.

Egipcyanie nie są bynajmniej zadowoleni z tych nowych rządów, występują też otwarcie przeciw najeźdźcom, ruch zaś narodowy, mający na celu uzyskanie samodzielności, wzmógł się po wojnie światowej i ogłoszenia zasady samostanowienia ludów o swym losie. Rząd angielski próbował nawiązać rokowania z nacyonalistami egipskimi, pertraktacye nie doprowadziły jednak do skutku.

Projekt ugody, ułożony przez lorda Curzona w imieniu gabinetu brytyjskiego, nie zyskał zatwierdzenia delegacyi egipskiej, zostającej pod przewodnictwem Adly baszy, która spodziewała się ogłoszenia niepodległości Egiptu. Przed kilku dniami rokowania nagle przerwano i Egipcyanie opuścili Londyn.

Tekst układu, proponowanego przez lorda Curzona, oraz nota egipska, stwierdzająca niemożliwość dojścia do porozumienia, zostały ogłoszone równocześnie w Egipcie i w Anglii.

„Figaro" zwrócił się do przedstawicieli delegacyi egipskiej, bawiącej w Paryżu i otrzymał od Ali bey Kamela, brata przywódcy narodowej partyi egipskiej, Mustafy Kamela, znanego patryoty, następujące wyjaśnienie w sprawie zerwania między Anglią a Egiptem.

„Partya narodowa niejednokrotnie zwracała uwagę narodu egipskiego na bezcelowość układów, nie opartych na poważnych podstawach.

Niektórzy politycy egipscy wierzyli, dziś już



**Twórcy niepodległej Irlandyi**: Michał Collins, jeden z głównych przywódców ruchu narodowego irlandzkiego.

przestali wierzyć, że Anglia w dobrej wierze opuści Egipt i że rokowania z nią mogą być pożądane. Wierzyli również, że nikt nie jest bardziej powołany do prowadzenia rokowań z Anglikami i zyskania ich sympatyi, jak właśnie Adly basza,



**Twórcy niepodległej Irlandyi:** Komendant irlandzkiej armii republikańskiej, Hale.

który od początku okupacyi piastował wysokie stanowisko. Zerwanie układów świadczy o tem, że ta dobra wiara ze strony Anglików, na której budowali swoje nadzieje Egipcyanie, podczas rokowań — zawiodła. Anglia oświadcza, że uznaje niepodległość Egiptu, a równocześnie chce utrzymywać w Egipcie potężną armię. Niepodległość i okupacya nie chodzą zazwyczaj w parze.

Byłoby rzeczą prostą dla Anglii lojalnie ewakuować Egipt, pozostawiając jedynie misyę oficerską w celu odbudowania egipskich sił wojskowych, które w razie potrzeby broniłyby kanału Suezkiego,




**Niemcy przeciw traktatowi wersalskiemu**: Bon, wydany przez miasto Schmölln w Turyngii, mający przedstawić znaczenie i przyszłość traktatu wersalskiego.

punktu geograficznego równie ważnego dla Anglii jak i dla innych narodów.

Wobec zerwania układów pozostaje nam tylko możność zastosowania tych środków, któremi zazwyczaj posługują się narody, pragnące zdobyć wolność. Zerwanie wzmocni jeszcze ideę wolności i solidarności w Egipcie i wszelki podział na partye i schizmy narodowe ustąpi miejsce zjednoczonym wysiłkom w celu obrony słusznej sprawy".

W końcu wywiadu Ali Bey Kamel zapewnił korespondenta „Figaro", że „Egipcyanie obejmują tem samem uczuciem miłości tych, którzy w Angorze walczą o wolność, jak Francuzów, którzy, zawierając z nimi pokój, pozostali wierni swoim narodowym tradycyom i zyskali serca wszystkich muzułmanów".

Zerwanie rokowań było powodem powstania przeciw Anglikom, którzy, wierni swemu systemowi, rozpoczęli stosowanie środków represyjnych, dolewających jeszcze oliwy do ognia. Między innemi aresztowanie i deportacya jednego z głównych przywódców egipskiego ruchu narodowego, baszy Saad Zaghloul, przyczyniło się do zaostrzenia i tak już niepewnej sytuacyi.

# Twórcy niepodległej Irlandyi.

W szeregu osobistości, które w walce o wyzwolenie z pod jarzma angielskiego szczególniej się zasłużyły, zanotuje historya Irlandyi przedewszystkiem trzy: Griffitha, de Valery i Collinsa. To bohaterowie narodowi, otoczeni ogólnym szacunkiem i miłością swego ludu, dla którego wiele wycierpieli, ale zdobyli mu samodzielność.

Dziś, po podpisaniu traktatu z Anglią, na którego mocy Irlandya uzyskała taki niepodległy byt państwowy, jakim się cieszą Dominiony Wielkobrytańskie, pomiędzy tymi zasłużonymi kierownikami walczącej o swoje prawa Irlandyi nastąpił rozbrat, który jednakże, jak sądzimy, nie odbije się ujemnie na życiu państwowem wyzwolonego narodu.

Jak wiadomo prezydent republiki irlandzkiej, De Valera ze swoimi zwolennikami nie chciał uznać traktatu, podpisanego przez pełnomocników rządu irlandzkiego — A. Griffith'a, Collins'a i innych. Zatarg powyższy został rozstrzygnięty przez parlament irlandzki, który stanął po stronie przeciwników de Valery i traktat z Anglią aprobował.

Artur Griffith, minister spraw zagranicznych, uważany jest za myśliciela politycznego i męża stanu za jeden z najwytrawniejszych umysłów Irlandyi i niepospolitego znawcę jej stosunków. W Irlandyi uważają, iż Griffith był istotnym twórcą doktryny sinfeinistów, którym wskazał drogi i sposoby odzyskania wolności narodowej. Słynie wśród swoich jako utalentowany publicysta, nieporównany zwłaszcza w polemice Umysł to trzeźwy, rozważny, przeciwny metodom rewolucyjnym, stosowanym w dziedzinie społecznej. A. Griffith nie brał udziału w powstaniu 1916 r. wskutek zatargu, jaki wyniknął na tle przekonań, pomiędzy nim a organizatorami ruchu. Uwięziony przez Anglików, wyszedł z więzienia w lipcu 1921 r., w październiku zaś stanął na czele delegacyi irlandzkiej, mającej kontynuować rokowania z rządem angielskim, przerwane wskutek tego, że de Valera nie chciał zgodzić się na przysięgę wierności królowi angielskiemu. Rokowania, prowadzone przez Griffith'a doprowadziły do uznania tej konieczności. Dzięki temu, pakt pomiędzy Anglią i Irlandyą został zawarty. To ostatnie, zarówno jak i różnica w poglądach na kwestye taktyki, przeciwstawiły tembardziej Griffith'a prezydentowi de Valerze, umysłowi zapalnemu, bojownikowi nieprzejednanemu o prawa narodu irlandzkiego.

W powstaniu 1916 r. odznaczył się de Valera wyjątkową brawurą i był ostatnim z wodzów, który się poddał Anglikom. Uwięziony przez nich otrzymał od swoich towarzyszy tytuł naczelnika ruchu, mającego na celu niepodległość Irlandyi. Wypuszczony z więzienia, został w 1917 r. wybrany do parlamentu angielskiego; w tym roku także kongres sinfeinistów powołał go jednogłośnie na swego prezydenta, słowem na stanowisko, na którem w ciągu sześciu lat stał Griffith. Wybór de Valery oznaczał przejście sinfeinistów do ostrej walki. W 1918 r. rząd angielski znowu uwięził de Valerę, pod zarzutem nowych „knowań niemieckich". Wyzwolony z więzienia w kwietniu 1919 r. przez Michała Colins'a, udał się do Ameryki. W 1920 r. powrócił do kraju i znowu stanął na czele walczącej Irlandyi. Kilkunastomiesięczna zacięta walka sinnfeinistów z władzami angielskimi, doprowadziła w końcu do tego, że w lipcu 1921 r. de Valera otrzymał zaproszenie Lloyd'a George'a na konferencyę do Londynu, na którą udał się po zawieszeniu broni. Nieprzejednane stanowisko de Valery w sprawie przysięgi na wierność królowi Anglii, odwlekało porozumienie i groziło obu stronom dalszą nieubłaganą walką. Nieugiętego de Valerę zastąpił w negocyacyach mądry oportunista, Griffith, co też, jak wiadomo, doprowadziło do zawarcia traktatu, dającego Irlandyi pełną wolność, w ramach wielkiego związku państw niezależnych, jakim jest W. Brytania.

Obok tych dwóch wielkich wodzów Irlandyi, dzisiaj przeciwników, stoi M. Collins, mniej wybitny od nich jako mąż stanu, otoczony jednak wśród swoich aureolą niezwyciężonego wodza powstańczego. Znamienną jest rzeczą, że ten najpopularniejszy wódz powstania irlandzkiego w sprawie podpisania traktatu z Anglią stanął po stronie umiarkowanego Griffith'a, nie zaś płomiennego de Valery, który zawdzięcza szalonej odwadze i przedsiębiorczości Collins'a swoje uwolnienie z więzienia.



**Akatolicki Wschód Papieżowi:** Nabożeństwo w katedrze św. Ducha w Konstantynopolu, w obecności następcy tronu tureckiego, księcia Abdula Medjida, po odsłonięciu pomnika wystawionego ku czci papieża Benedykta XV.



**Koncert na odległość:** Lucyan Guitry deklamuje w biurze komendanta stacyi radiotelegraficznej na wieży Eiffla w Paryżu dla słuchaczów, zgromadzonych w sali teatru w Lille.

## Niemcy przeciw traktatowi wersalskiemu.

Traktat wersalski, który Niemcy przyjęli wprawdzie, ale go dotrzymać bynajmniej nie myślą, jest solą w oku dla nich, jako akt upokorzenia i zdeptania pychy i buty germańskiej. Z jednej strony dokładają wszelkich starań, aby wykonanie jego postanowień o ile możności odwlec, z drugiej zaś zwalczają go wszelkiemi sposobami.

Jakiemi metodami posługują się przy tej walce Niemcy, mieliśmy sposobność nieraz już się przekonać, obecnie, mamy przed sobą bon, wydany przez turyngskie miasto Schmölln, opiewający na dwadzieścia pięć fenigów, a zaopatrzony rysunkiem, przedstawiającym niemieckiego Michla, biorącego na na widły szpargał, by go wrzucić w ogień, na dolnej części banknotu, widnieje zaś wiele mówiący napis: *„Weg damit!“.* Ów szpargał, to traktat wersalski, a uzupełnieniem rysunku czternaście trupich głów, po siedm z każdej strony, z objaśnieniem, że jest to symboliczne wyobrażenie czternastu punktów orędzia Wilsona.

Ten rodzaj propagandy nie jest bynajmniej nowym. Bezpośrednio po ogłoszeniu i przyjęciu przez Niemcy traktatu wersalskiego wydano tam seryę znaczków pocztowych, opatrzonych rysunkami, odnoszącymi się do niego, a przedstawiającymi go jako drzewo, które ostatecznie zostaje ścięte. Prócz tego tego widzimy kolekcyę bonów, opiewających na różne kwoty, puszczonych w obieg przez zarząd pewnego światowego hotelu w jednym z większych miast niemieckich. Noszą one na sobie na oko bardzo niewinnie wyglądające i nic nie mówiące obrazki, między innymi i portret excesarza Wilhelma, gdy się je jednak położy jeden na drugim i patrzy pod światło, otrzymuje się apoteozę byłego władcy Niemiec, nad którego podobizną unosi się geniusz z wieńcem laurowym w dłoni.

Ten rodzaj walki, czy to celem ośmieszenia traktatu wersalskiego, czy też szerzenia idei monarchistycznych w najszerszych sferach ludności, jest bardzo skuteczny i robi też swoje. Prasa koalicyjna, zwracając nań uwagę, uznaje go zupełnie słusznie jako jeden ze środków przygotowawczych do przyszłego odwetu, który jest celem marzeń każdego Niemca.

## Akatolicki Wschód Papieżowi.

Staraniem i ze składek mieszkańców Wschodu, bez różnicy wyznania i narodowości, wzniesiono w Konstantynopolu pomnik ku czci papieża Benedykta XV.

Uroczystość ta odbyła się 11 grudnia 1921 r. na placu katedralnym, gdzie się pomnik znajduje, wykonany przez artystę prof. Quattrini'ego. Na pomniku widnieje napis: „Wielkiemu Papieżowi. — W tragicznej godzinie świata.—Benedyktowi XV.— Dobroczyńcy narodów. — Bez różnicy narodowości i religii. — Na znak wdzięczności. — Wschód — 1914–1919“.

Jak wiadomo, pomnik ten wzniesiono z hojnych składek: muzułmanów, żydów, ormian, greków, protestantów — i wogóle wszystkich klas społecznych — od sułtana aż do wicekróla Egiptu, od wielkiego rabina Turcyi aż do patryarchy grzińskiego — i to w stolicy islamu, w kolebce herezyi i schizm. Pomnik stanął bez współudziału katolików, w mieście, w którem dotychczas nie było żadnego pomnika na placu publicznym, bo jak wiemy, Turcy posągów ani figur na otwartych miejscach nie stawiają. To też pomnik Papieża, pierwszy w całem państwie tureckiem, tem większe budzi zainteresowanie. W uroczystościach wzięli udział członkowie domu cesarskiego z następcą tronu, Abdul Mediid Effendim na czele.

Delegat apostolski monsgr. Dolci, podziękował w gorących słowach narodom Wschodu za ten objaw czci i uznania dla Ojca św. Kościół katedralny w którym zakończyła się uroczystość odegraniem hymnu papieskiego i odśpiewaniem przez doborowy chór motywów religijnych — był wspaniale przybrany i oświetlony. Nad wielkim ołtarzem wśród girland i festonów widniało godło papiestwa, tiara nad kluczami, na tle barw papieskich.



**Z Teatru im. J. Słowackiego:** Karol Hubert Rostworowski, autor „Strasznych dzieci“.



**Z Teatru im. J. Słowackiego:** Art. dram. Kaden jako św. Piotr w Rostworowskiego „Strasznych dzieciach“.

## Koncert na odległość

To, co dawniej istniało tylko w fantazyi powieściopisarzy, w guście Verne'go, stało się w obecnych czasach rzeczywistością. Początek wzięły koncerty na odległość w ojczyźnie telefonu, to jest w Ameryce, stamtąd zaś dostały się już i do Europy, gdzie zyskują coraz większą wziętość dla swej oryginalności.

Jedną z pierwszych większych prób w tym kierunku była niespodzianka, jaką Towarzystwo Przyjaciół Inżynierów Elektrycznych w Paryżu urządziło na deser swym członkom, zebranym w jednym z hoteli paryskich na bankiecie, dozwalając im przysłuchiwać się równocześnie koncertowi, odbywającemu się w Sainte-Assise, koło Melun, w odległości czterdziestu kilometrów od Paryża. Sukces był niebywały, pierwsza próba wprowadziła wszystkich w zachwyt. Głównym propagatorem idei urządzania koncertów na odległość i ich inicyatorem jest inżynier Gouineau z Tuluzy, autor licznych prac naukowych w tym kierunku. Koncerty te odbywają się obecnie prawie codziennie, a cieszą się dla swej niezwykłości ogromną frekwencyą słuchaczów.

Niedawno odbył się podobny koncert, tem ciekawszy i oryginalniejszy, że estradą koncertową była kancelarya komendanta stacyi radiotelegraficznej na wieży Eiffel w Paryżu, audytoryum zaś tworzyło dwa tysiące słuchaczów, zgromadzonych w sali teatru miejskiego w Lille, o dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Paryża, dochód zaś przeznaczono na cele laboratoryum biologicznego na badania w zakresie radiologii.

## Z Teatru im. Słowackiego.

(K. H. Rostworowskiego: *Straszne dzieci* (Bajka w 3 aktach) i J. Surguczewa: *Jesienne skrzypce* (sztuka w 4 aktach, tłom. G. Staniszewski).

Świat cały — to jeden wielki cyrk, a ludzkie na nim niepoczciwe kłótnie, zabiegi, dokonywane złośliwości — to głupstwa i błazeństwa godne klownów. Wybaczyć je trzeba, a trzeba tembardziej, że „te ludziska“ nie byłyby takie złe, gdyby nie szatan, gdyby nie instynkta z piekła rodem. Lud im zatem należy się miłosierdzie, szatanowi zamknięcie w piekle. Oto teza sztuki p. t. *Straszne dzieci*. Jest to nic innego, jak tylko zwierciadło ludzkich spraw i zbrodni, — ujęte jednak i pokazane w formie bajki z jakimś przedziwnym spokojem i pobłażliwym uśmiechem... Daj Boże, aby Opatrzność, sądząc ludzkie sprawy i czyny (właściwie: zbrodnie) naprawdę tak miłosierną się okazała... Zdaje się jednak, że aczkolwiek ci ludzie — to tylko dzieci, zepsute, niepoczciwe dzieci! — jednak na to mają rozum i smutne doświadczenie z przeszłości, iż ze wszystkiem usprawiedliwić ich nie można... Zdałoby się na ich głowy więcej gromów i błyskawic, niż to czyni poczciwota z kościami — św. Piotr.

Można się zatem z autorem (zasłużonym już autorem *Judasza z Karyotu*, *Miłosierdzia*, *Kaliguli* itd.) o niejedno w tej sztuce posprzeczać, nawet na niejedno się nie zgodzić, przyznać wszakże trzeba, że *Straszne dzieci* są utworem oryginalnym, pod dyskusyę się nadającym. Dyrektor teatru p. Trzciński wystawił i wyreżyserował całość bardzo interesująco, artyści, jak p. Białkowski, Szymański (Djasek, zob. illustracyę), Kaden (św. Piotr — illustr.), Kosicka, Krasnowiecki itd. grali dowcipnie a dobrze. Arcyciekawe dekoracye i kostyumy skomponował p. Gall. Sztuka nie schodzi z afisza, a ma być tłómaczona na obce języki.

Notując wystawienie *Jesiennych skrzypiec*, sztuki z rosyjskiego, chciałem zaznaczyć, że pokazanie nam jej dzisiaj już może potrzebne nie było... Tego jednak nie czynię, a to dlatego, że w sztuce tej rola Barbary, żony Ławrowa, dostarezyła wielkiego pola do bardzo subtelnej i psychicznie głęboko odczutej gry dla p. Bednarzewskiej. Dla tej gry warto pójść na sztukę, zwłaszcza, że p. Kacicka-Gallowa, wreszcie p. Jednowski, stwarzają postacie żywe i zajmujące (p. Jednowski niepotrzebnie tylko nadaje Dymitrowi cechy zbytniej starości i niedołęstwa. Jego Ławrow — to niedojda!). Zresztą sztuka dość przeciętna, tak w założeniu, jakoteż i prowadzeniu dyalogu. Te ostatnie, przeważnie przydługie, wogóle cała treść, zasadzająca się na kłamstwie i szybkiem maskowaniu zdrady męża przez żonę (kosztem jej własnych rzetelnych uczuć!) dałaby się doskonale zamiast w pięciu, zamknąć w trzech skondensowanych odsłonach. *b—i.*



**Z Teatru im. J. Słowackiego:** Art. dram. Szymański, w roli Djaska w Rostworowskiego „Strasznych dzieciach“.

Wydawcy i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego